



Aleksander Wysięski (1897-1951)

Nadleśniczy ALEKSANDER WYSIŃSKI

(1897-1951)



Historię nadleśniczego Aleksandra Wysińskiego opowiedzieli jego synowie – Mieczysław (ur. w 1934 r.) i Marian (ur. w 1936 r.). To życiorys dramatyczny, chociaż typowy dla nadleśniczych z Pomorza i Wielkopolski, którzy w okresie międzywojennym pracowali w Lasach Państwowych. Charakterystyczne dla tych niezwykłych biografii jest wielkie oddanie dla odrodzonej po zaborach Ojczyzny i rosnących stopniowo w siłę, głównie dzięki znakomitej kadrze, polskich Lasów Państwowych.

Aleksander Wysiński urodził się w Brusach 10 grudnia 1897 roku. Jego ojciec Andrzej był listonoszem, matka Rozalia, z domu Ody, pochodziła z rolniczej rodziny kaszubskiej. Aleksander miał trzy siostry: Marię, Helenę i Zofię oraz trzech braci: Józefa, Bernarda i Cyryla. Najstarszy brat Józef był duchownym, proboszczem parafii świętych Janów w Toruniu. Zasłużony dla tego miasta i kościoła, który za jego kadencji w 1935 roku otrzymał tytuł bazyliki mniejszej. Aleksander Wysiński zmarł przedwcześnie w 1951 roku w Toruniu. O jego życiu opowiedzieli synowie (przyp. Tadeusz Chrzanowski).

MŁODOŚĆ NASZEGO OJCA

Ojciec ukończył niemiecką szkołę powszechną w Brusach, ale był wychowany na literaturze kaszubskiej, m.in. Hieronima Derdowskiego. Maturę uzyskał w 1918 roku w gimnazjum w Chojnicach. Tu, jeszcze pod panowaniem pruskim w 1916 roku, założył tajną, polską organizację patriotyczną Towarzystwo Tomasz Zana. Towarzystwo odważnie działało na rzecz polskości Kaszubów. Aleksander prowadził m.in. kursy czytania i pisania w języku polskim dla początkujących. W tamtym czasie Kaszubi w Brusach rozmawiali po kaszubsku lub po niemiecku. Polacy z centralnej Polski nie potrafili się z nimi porozumieć. To trzeba było zmienić, stąd to nauczanie języka polskiego.

W 1920 roku Ojciec zgłosił się na ochotnika na wojnę z bolszewikami. Przebywał na zgrupowaniu pod Golubiem-Dobrzyniem, jednak nie brał udziału w walkach, gdyż miejscowe dowództwo uznało, że wobec braku przeszkolenia i odpowiedniego uzbrojenia, do działań wojennych przybyli ochotnicy nie będą skierowani.

Przez kolejne dwa lata kształcił się w Seminarium w Pelplinie, a następnie w latach 1920-1924 studiował leśnictwo na Wydziale Rolniczo-Leśnym w Poznaniu. Podczas studiów poznańskich był w grupie założycielskiej korporacji „Pomerania”* (informacja na str. 216) skupiającej młodzież pomorską. Został jej pierwszym wiceprezesem. Celem korporacji było: kultywowanie postaw patriotycznych

absolwentów uczelni poznańskiej pochodzących z Pomorza, organizowanie inteligencji polskiej na Pomorzu, propagowanie tradycji kościoła katolickiego, pomoc młodzieży z niezamożnych rodzin w zdobywaniu wykształcenia. Działalność „Pomeranii” prowadzona była przez jej członków również po studiach. Korporacja liczyła ponad 200 członków rzeczywistych oraz kilkunastu honorowych. Należało do niej wielu prawników, lekarzy, nauczycieli i leśników. Wśród leśników byli m.in. tacy nadleśniczowie z Pomorza, jak: Stanisław Borzyszkowski, Alojzy Cysewski, Władysław Kinka, Jan Kostka i Leon Kostka, Franciszek Nowicki i jeden z założycieli Pomeranii – Aleksander Wysiński.

Ojciec interesował się prawem. Na początku studiów myślał nawet o wyborze zawodu prawnika. Na kolejnych latach studiów utwierdził się jednak w przekonaniu, że zawód leśnika to jego powołanie. Ojciec zawsze nam mówił, że studia trzeba starannie odbyć, szybko skończyć i – zgodnie z ideą „Pomeranii” – wrócić do rodzimego środowiska, by mu pomóc. W początkach niepodległej Polski miało to szczególne znaczenie, bowiem wykształconych Polaków było na prowincji niewiele.

Ojciec był nadzwyczaj dobrze zorganizowany. Nie było chwili życia, która by nie była zagospodarowana. Jego rodzeństwo też takie było. Oni nie znali pojęcia nudy, czy stanu beczczynności. Byli też bardzo rodzinni, solidarni, skorzy do wzajemnej pomocy.

***Pomerania**

Pomerania została założona 8 grudnia 1923 roku przez grupę siedmiu studentów Uniwersytetu Poznańskiego. Prace nad powołaniem korporacji toczyły się od 11 listopada, kiedy to z inicjatywy Aleksandra Wysińskiego odbyło się w mieszkaniu Mieczysława Mrozińskiego spotkanie, na którym podjęto taką decyzję. Pierwszym prezesem stowarzyszenia został Damazy Gracz, były filomata pomorski i jeden z pierwszych absolwentów prawa Uniwersytetu.

Zasady ideowe Pomeranii zostały ujęte w uroczystej Deklaracji Ideowej. Zgodnie z nią celem korporacji było wychowanie świadomych grożącego ze strony Niemiec niebezpieczeństwa pomorskich przywódców i inteligencji, „obowiązkowych i pracowitych, przepojonych chęcią sumiennej i ofiarnej służby dla Narodu, nie cofających się przed żadną przeszkodą, gdy chodzi o dobro Ojczyzny, gotowych w razie potrzeby walczyć do ostatniej kropli krwi w obronie całości i niepodległości Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.” Pomerania stawiała sobie za zadanie „wychowywać swych członków na ludzi o wysokim poziomie moralnym, uszlachetniać ich ambicje, wyrobić w nich poczucie honoru i odpowiedzialności za każde słowo i każdy czyn.” Wychowanie to miało przebiegać w duchu chrześcijańskim ze świadomością, że hasłem ludu pomorskiego w najcięższych chwilach były słowa „Bóg i Ojczyzna”. W deklaracji zobowiązano także członków do „uświadamiania szerokich mas w duchu państwowotwórczym, do krzewienia wśród nich oświaty” oraz zalecono „nie angażować się w żadnej organizacji politycznej, tak akademickiej, jak i starszego społeczeństwa”.

Źródło:

<http://www.archiwumkorporacyjne.pl/index.php/muzeum-korporacyjne/poznan/k-pomerania/>



Aleksander Wysiński, rok 1924. Na zdjęciu w czapce korporacji „Pomerania”. Był jednym z założycieli i pierwszym wiceprezesem tej patriotycznej organizacji w czasie studiów na Wydziale Rolniczo-Leśnym w Poznaniu (1920-1924)



Brusy, ok. 1918 r., w którym Aleksander Wysynski (na zdjęciu pierwszy z prawej) uzyskał maturę w chojnickim gimnazjum. Był tam założycielem w 1916 r. tajnej polskiej organizacji - Towarzystwo Tomusza Żana. Na zdjęciu od lewej: brat Aleksandra - Bernard, siostra Helena, matka Rozalia zd. Ody



Toruń w 1926 r. przed plebanią na ul. Żeglarskiej; Od prawej: Bernard i Kazimiera Wysińscy, Wysińscy: Zofia, Maria, Aleksander, Helena i jej mąż Aleksander Lubik. Chłopiec Czesław – syn Bernarda, zginął później jako żołnierz Wojska Polskiego we wrześniu 1939 r.

DROGA DO WIERZCHLASU

Po ukończeniu studiów, w latach 1924-1927, Ojciec pracował w Dyrekcji Lasów Państwowych w Bydgoszczy, zaczynając od praktykanta techniczno-leśnego i administracyjnego, przez kolejne stopnie wtajemniczenia zawodowego, kiedy kierowano go do nadleśnictw jako adiunkta lub zastępcę nadleśniczego. Pracował kolejno w nadleśnictwach: Przewodnik, Gołąbek, Sarniagóra i Trzebciny.

W latach 1928-1937 był nadleśniczym w Nadleśnictwie Wierzchlas. Jeszcze w latach 20. pracując w dyrekcji i później w borowiackich nadleśnictwach, bardzo aktywnie włączył się w działalność Polskiego Związku Zachodniego oraz Związku Zawodowego Leśników w RP.

Polski Związek Zachodni był organizacją patriotyczną. Działał na rzecz repolonizacji ludności na terenach byłego zaboru pruskiego. Przeciwstawiał się niemieckim dążeniom do rewizji granic oraz propagandzie antypolskiej. Podczas okupacji niemieckiej działacze tej organizacji dotknęły szczególne prześladowania i akty eksterminacji, których pierwsza fala miała miejsce już jesienią 1939 roku podczas ogólnopolskiej akcji gestapo przeciwko inteligencji polskiej. Najczęściej przynależność do Związku równała się wyrokowi śmierci. Ojciec był inicjatorem zakładania kół Związku Zachodniego, m.in. w Tucholi, Lubiewie i Cekcynie. Do organizacji należało wielu leśników.

W Tucholi Ojciec poznał Zofię z Gierszewskich. Okolicznością, która w tym pomogła była jego aktywna działalność w „Pomeranii”, do której należał również brat Zofii, Stanisław, student medycyny. Gierszewscy mieszkali w Tucholi-Wybudowaniu, gdzie senior rodu Michał posiadał duże, blisko stuhektarowe gospodarstwo rolne. Ślub cywilny naszych rodziców, Aleksandra Wysńskiego i Zofii Gierszewskiej, odbył się 3 września 1933 roku w Tucholi, natomiast ślub kościelny tydzień później w oliwskiej katedrze. Po ślubie rodzice zamieszkali w Wierzchlesie, gdzie Ojciec był nadleśniczym. W 1934 roku urodziłem się jako najstarsze ich dziecko, a dwa lata później mój brat Henryk Marian. Pierwsza siostra Aleksandra urodziła się w Lutówku w 1938 roku, a druga, Elżbieta Stefania w Bojanach koło Broku nad Bugiem podczas okupacji w 1944 roku.

Nasza Mama Zofia Gierszewska ukończyła Gimnazjum w Brzegu, a później jeszcze Szkołę Panien Polskich w Kościerzynie, gdzie przygotowywano dziewczyny do prowadzenia gospodarstwa domowego. Później, te kobiety bardzo dobrze radziły sobie w różnych trudnych sytuacjach życiowych, jakich nie brakowało na przykład w czasie wojny. Często, w różnych dramatycznych okolicznościach, których nie oszczędziła wojna i lata powojenne, zostawały same z dziećmi i musiały zapewnić im bezpieczeństwo i utrzymanie.

Z opowieści rodzinnych wiemy, że w Wierzchlesie nasz dom odwiedzał Leon Wyczółkowski, który interesował się „Cisowym Gajem” i utrwalił na płótnach serię obrazów z tego niezwykłego miejsca.



Tuchola-Wybudowanie w 1934 r. w gospodarstwie Gierszewskich. Od prawej: Michał Gierszewski senior, nadleśniczy NN, Maria Gierszewska, nadleśniczy Aleksander Wysiński, jego żona Zofia Wysińska z domu Gierszewska i jej rodzeństwo: Franciszek, Łucja i Leon

LUTÓWKO PO RAZ PIERWSZY

Przeniesienie służbowe Ojca z Wierzchlasu do Lutówka w 1937 roku było związane z przekonaniem, że zaktywizuje on środowiska patriotyczne do działania na rzecz repolonizacji społeczeństwa w regionie sępoleńskim. W tej działalności wyróżniali się również miejscowi leśniczowie, w tym Maksymilian Kieruj z Leśnictwa Gaj, Franciszek Pałubicki z Leśnictwa Nowydwór i Józef Woźniak z Leśnictwa Lutówka. W biurze nadleśnictwa, poza Ojcem, pracowali: adiunkt, sekretarz nadleśnictwa, kasjer i manipulant, zazwyczaj stażysta.

W Lutówku mieliśmy duże gospodarstwo rolne, chyba około 30 hektarów. To był deputat naszego Ojca. Gospodarstwem fachowo i z oddaniem zajmował się Roman Romaszkin – były żołnierz Armii Czerwonej, szeregowiec, który w 1920 roku dostał się do polskiej niewoli. Gdy później rozwiązywano obóz, spora część jeńców zdecydowała się zostać w Polsce. Znajdowali oni zatrudnienie zazwyczaj u miejscowych rolników. Roman Romaszkin trafił do gospodarstwa naszego dziadka Michała Gierszewskiego, który mieszkał w Tucholi-Wybudowaniu i tam miał kilkadziesiąt hektarów ziemi uprawnej. Romaszkin bardzo dobrze utrwalił się w mojej pamięci, bo po ślubie rodziców przeniósł się do naszego gospodarstwa najpierw w Wierzchlesie, później w Lutówku i całościowo nim zarządzał. Uczył mnie pływać i jazdy konnej, był sprawdzonym przyjacielem rodziny. Gdy na początku wojny Ojciec trafił do niemieckiego obozu w Radzimi, Romaszkin tylko sobie znanymi sposobami dostarczał mu ubranie i żywność, które przygotowywała nasza Mama. Wojnę przetrwał przy robotach drogowych. Po wojnie zatrudnił się jako woźny w szkole w Cekcynie. Założył rodzinę, miał dwie córki. Kilka razy odwiedził nas w Toruniu, przywoził suszone grzyby z borów.

Nasz dom w Lutówku był otwarty. Częstymi gośćmi byli, można powiedzieć, przedstawiciele lokalnej elity społecznej – urzędnicy, prawnicy, duchowni i oczywiście członkowie dość licznej naszej rodziny.

Znany przed wojną obwód łowiecki w Lutówku kilkakrotnie odwiedzał prezydent Ignacy Mościcki. Ojciec chciał nas trzymać z daleka od świąty prezydenckiej, ale to się nie udało. Podczas jednego z polowań prezydent zgodził się bym mu towarzyszył w koszu na jego stanowisku. Ostatecznie na dobre to nie wyszło, bo nie pozwoliłem prezydentowi strzelić do sarny, która tam się pojawiła. Mieliśmy w ogrodzie oswojoną sarnę Baškę i wtedy każda sarna była dla mnie Bašką, której nie wolno robić żadnej krzywdy.

Prezydent Mościcki pamiętał o społeczności Lutówka. Na święta przysyłał paczki dla dzieci uczęszczających do miejscowej szkoły. Były to słodczyce, ale też rzeczy bardziej praktyczne, jak na przykład bielizna zimowa. Zazdrościłem wtedy dzieciom, bo ja jeszcze do szkoły nie chodziłem. Prezydent przysyłał też symboliczne nagrody dla uczestników lokalnego święta lasu, w którym powszechnie uczestniczyła miejscowa ludność.

WYBUCHŁA WOJNA

Granica z Niemcami była oddalona zaledwie o sześć kilometrów od Lutówka. Pamiętam, że w latach 1938-1939 najpierw „nieznani” sprawcy kilkakrotnie, pod osłoną nocy, plądrowali biuro nadleśnictwa. Jak się później okazało po schwytaniu jednego z nich, byli to Niemcy, prawdopodobnie z faszystowskich bojówek. To nie były kradzieże, tylko polityczna prowokacja. Niemcom zależało na sianiu niepokoju i wprowadzaniu chaosu w urzędach i społeczności polskiej, mieszkającej w strefie przygranicznej. Do pochycenia bojówkarza przyczynił się nasz pies Lux, który go wyszukał ukrytego w malinach uprawianych w naszym gospodarstwie.

W końcu sierpnia 1939 roku Ojciec otrzymał kartę mobilizacyjną. Był sape-rem, oficerem rezerwy. W mundurze porucznika Wojska Polskiego udał się do Sępólna i stamtąd pociągiem do Torunia. Po wojnie wspominał, że jego oddział przemieszczał się tylko nocą ze względu na ataki niemieckiego lotnictwa. Gdy znajdowali się gdzieś między Łowiczem i Kutnem dotarli do majątku, który okazał się już zajęty przez Niemców. Był to sztab niemieckiej jednostki zmotoryzowanej liczącej ponad 70 pojazdów. Na wycofanie się było za późno, więc... dowództwo polskiej kompanii (trzy plutony) postanowiło zaatakować. Zaskoczenie okazało się tak wielkie, że Niemcy poddali się praktycznie bez walki. Sytuacja stała się jednak kłopotliwa. Brakowało łączności, a Polacy mieli więcej jeńców niż liczyło ich własne ugrupowanie. Nie mieli w swoich szeregach dostatecznej liczby kierowców, by w pełni wykorzystać zdobyczne niemieckie pojazdy. Sformowali kolumnę i prowadzili ją w kierunku Warszawy. Marsz się przedłużał. Gdy nawiązali wreszcie kontakt z Warszawą otrzymali rozkaz jak najszybszego dotarcia do stolicy, aby wzmocnić obronę miasta. W tych okolicznościach jeńcy niemieccy stali się kulą u nogi. Rozbrojonych puścili wolno, a sami, korzystając z części zdobycznych pojazdów, pospiesznie ruszyli na pomoc Warszawie. Tam uczestniczyli w obronie stolicy w batalionach Starzyńskiego. Wobec ogromnej przewagi wroga obrona Warszawy nie trwała długo. Gdy zbliżał się dzień kapitulacji, żołnierze otrzymali do wyboru (od swojego dowództwa), albo poddanie się w niewolę niemiecką, albo cywilne ubranie i samodzielną ewakuację do miejsc zamieszkania. Ojciec wybrał ten drugi wariant.

Tymczasem my z mamą, jeszcze w sierpniu 1939 roku, zaraz po wyjeździe Ojca z Lutówka do wojska, przenieśliśmy się do dziadka Gierszewskiego do Tucholi i tu zastał nas wybuch wojny. Przed wkroczeniem wojsk do miasta Niemcy zrzucaли z samolotów ładunki wybuchowe na tzw. Głębocek. Chodziło prawdopodobnie o wywołanie paniki, bo ostatecznie do żadnych większych zniszczeń w mieście nie doszło. Niemcy zajęli Tucholę. Gdy dobiegła końca kampania wrześniowa i skapitulowała Warszawa, spodziewaliśmy się, że Ojciec przyjedzie do nas. Wiedział, że będziemy mieszkać u dziadka Gierszewskiego. Tymczasem

Niemcy nakazali, aby urzędnicy państwowi, gdziekolwiek są, wracali do miejsca pracy. I Ojciec tak zrobił. Na przełomie września i października stanął się w Lutówku, gdzie nasze mieszkanie i siedziba nadleśnictwa pozostały nienaruszone. Ubrał się w mundur polskiego nadleśniczego i już nazajutrz... został aresztowany przez gestapo i przewieziony do odległego o około 25 km obozu w Radzimiu. Wiadomość o uwięzieniu ojca dotarła do nas do Tucholi. Jakikolwiek odwiedzi-ny były jednak wykluczone.

Dziadek Michał Gierszewski z Tucholi działał przed wojną w Izbie Rolniczej. Był wielkim patriotą, pracował na rzecz odbudowy polskości na terenach w dawnym zaborze pruskim. Polskie Izby Rolnicze dzięki dobrej organizacji i solidarności rosły w siłę i rugowały dawnych niemieckich gospodarzy. Gdy wybuchła wojna, dziadek i jego rodzina byli z tego powodu zagrożeni. Tym bardziej, że dziadek pomimo różnych zachęt nigdy nie przyjął niemieckiej grupy narodowościowej. Miał dużo szczęścia, gdyż do jego gospodarstwa skierowano Niemca z Bawarii jako tzw. Treuhandera (zarządcę majątku), który okazał się porządnym człowiekiem i do tego niezbyt chętnie przyjeżdżał do okupowanej Polski. Porozumieli się z dziadkiem, że raz na kilka miesięcy będą sprawdzane wszelkie formalności związane z nadzorem, dostawami i... będzie przygotowana odpowiednia „wałówka” dla zarządcy.

OBOZOWA TUŁACZKA OJCA

Warunki pobytu naszego Ojca w obozie niemieckim w Radzimiu były ciężkie. Poza tym niektórych współwięźniów wywożono, a niektórzy znikali bez śladu. Można było się domyślać, że spotyka ich śmierć. Po 2-3 tygodniach Ojciec podczas apelu zgłosił się na ochotnika do brygady, która miała kopać rowy melioracyjne poza obozem. Pomyślał, że w ten sposób zwiększy swoje szanse na przeżycie. Prace ziemne wykonywano między Obrowem i Przymuszewem, i trwały aż do końca listopada, gdy zamarzła ziemia. Wtedy Niemcy przywieźli brygadę z powrotem do Radzimia, gdzie obozu i więźniów już nie było. Jak się później okazało, część z nich rozstrzelano, m.in. w Rudzkim Moście koło Tucholi i w Dolinie Śmierci w Chojnicach, innych wywieziono do obozów koncentracyjnych, głównie do Stutthofu. Do tego obozu trafił też Ojciec i jego towarzysze z brygady. W Stutthofie przebywał do wiosny 1940 roku, kiedy przewieziono go do Oranienburga, a później do Dachau. Stamtąd otrzymaliśmy pierwszy list od Ojca.

Mama z chwilą otrzymania wiadomości o aresztowaniu Ojca i umieszczeniu w obozie w Radzimiu starała się wszelkimi sposobami o jego uwolnienie. Długo się to nie udawało. Ojciec miał kolegów Niemców, którzy przed wojną studiowali w Poznaniu. Byli to głównie prawnicy, ale chyba też kilku leśników. Jeden z nich, prawnik, w czasie okupacji pracował w Gdańsku, i to za jego sprawą oraz forstmeistra o nazwisku Busseck, udało się przenieść Ojca z Oranienburga do Dachau, gdzie pracował w kuchni.

Pewnego dnia, podczas apelu Niemcy ogłosili nabór do pracy w leśnictwie na terenie okupowanej Polski, w Generalnej Guberni. Warunkiem zatrudnienia było wykształcenie leśne i biegła znajomość języka niemieckiego. Zgłosił się Ojciec i jeszcze kilka osób. Otrzymał skierowanie i nakaz pracy w Grójcu. On jednak przyjechał najpierw do nas do Tucholi. Pamiętam taki obraz. Była późna jesień 1940 roku, wczesny ranek, w gospodarstwie jeszcze nikt nie pracował. Nie uprzedzono nas, że Ojciec może wrócić. Z sypialni dziecięcej dostrzegłem na horyzoncie niewyraźną postać ubraną w łachmany. Rozpoznałem w niej Ojca. Narobiłem rabanu w całym domu. Za parę minut to się potwierdziło, gdy Ojciec przekroczył próg domu. Pozostał z nami kilka dni. W tym czasie był tam również mamy brat Stanisław, z zawodu lekarz. On dopilnował, aby Ojciec właściwie się odżywił, to znaczy ograniczał mu jedzenie po obozowym głodzeniu. Po kilku dniach Ojciec zniknął. Powiedziano nam, że wyjechał do dyrekcji lasów do Warszawy. Tylko mama wiedziała, że udał się on do swoich siostr w Toruniu, gdzie jeszcze przez dwa miesiące się kurował po przejściach obozowych. Gdy odzyskał jako tako siły, zgłosił się do Warszawy, gdzie otrzymał skierowanie do pracy w Nadleśnictwie Brok nad Bugiem.

NADLEŚNICTWO BROK NA BUGIEM

Miasteczko Brok nad Bugiem liczyło wówczas może pięć tysięcy mieszkańców. Była to biedna społeczność. Duża część żyła z roli, pracy w lesie i zbioru płodów runa. W Broku był kościół, posterunek policji granatowej, sklep i szkoła. Nadleśniczym był leśnik z Bawarii. Nie chciał za bardzo pracować w okupowanej Polsce. Być może obawiał się o swoje życie. Szybko porozumiał się z Ojcem twierdząc, że dwóch nadleśniczych w jednym miejscu to o jednego za dużo. Umówili się, że forstmeister zostawi nadleśnictwo Ojcu, a sam wróci do Bawarii i tylko co kilka miesięcy będzie przyjeżdżał, aby akceptować przygotowane dokumenty. Ojciec biegle znał język niemiecki, w praktyce był dwujęzyczny. Pamiętam nawet, że liczył zawsze po niemiecku. Chyba zostało mu to z dzieciństwa, szkołę powszechną kończył jeszcze pod zaborem pruskim. Ojcu taki układ bardzo odpowiadał, tym bardziej, że zaangażował się w działalność konspiracyjną, gdyż podziemie w tamtym regionie było dobrze rozwinięte. Nadleśniczy, nawet Polak, był w pewnym sensie osobą uprzywilejowaną, bo mógł się swobodnie poruszać po terenie nadleśnictwa o dowolnej porze dnia i nocy, podczas gdy innych obowiązywała godzina policyjna i inne ograniczenia.

Siedziba nadleśnictwa w Broku była w budowie, lecz Ojciec usilnie zabiegał o zamieszkanie w jakimś polskim gospodarstwie z dala od miasteczka. To się udało. Decyzja Ojca o zamieszkaniu u gospodarza w odległych o pięć kilometrów od Broku Bojanach okazała się bardzo dobra. Ojciec cieszył się dużym zaufaniem w środowisku. Gdyby mieszkał w urzędzie, na pewno by tak nie było. Raczej byłby

traktowany jako ktoś obcy, ktoś z zewnątrz, wprowadzony na urząd przez władze okupacyjne. A do tego relacje z niemieckim Forstmeisterem na tyle dobrze się układały, że Ojciec podczas jednej z jego kolejnych wizyt podsunął mu do podpisu... 250 Arbeitskarte (kart pracy) dla ludzi, którzy mieli pracować w miejscowych lasach. Forstmeister podpisał. W ten sposób zalegalizował pobyt i zabezpieczył przed wywózką na roboty do Rzeszy dużą grupę Polaków, w tym osoby „spalone”, poszukiwane przez okupanta i najczęściej działające już w konspiracji. W kancelarii nadleśnictwa w Broku pracowało kilkanaście osób, w tym pracownicy z wyższym wykształceniem leśnym.

Ojciec nigdy z nami nie rozmawiał szerzej o swojej działalności konspiracyjnej. To były tematy zastrzeżone i podczas okupacji niemieckiej, i później w Polsce ludowej. Wiedzę na ten temat zdobyłem od innych ludzi, w tym od mamy i mieszkańców Bojan. No i sam już sporo rozumiałem i widziałem.



Brok – most na Bugu, ok. 1942 r.
Dorośli od lewej: Zofia i Aleksander Wysińscy oraz Maria Wojtalewicz. Dzieci od lewej: Mieczysław, Aleksandra i Marian

WIEŚ BOJANY

We wsi Bojany, gdzie mieszkaliśmy, w ogóle nie było Niemców. Jedyną władzę sprawował sołtys, który był Polakiem. Mieszkaliśmy u rolnika o nazwisku Kalata. Był żołnierzem dwóch wojen, najpierw w szeregach carskiej armii walczył z Prusakami, a później jako żołnierz polski uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Kalata to był świątły człowiek. Mieszkał z żoną, córką i zięciem. Ojciec najpierw sam zamieszkał u Kalatów, bo my z mamą wciąż przebywaliśmy u dziadka Gierszewskiego w Tucholi. Gdy już dobrze rozpoznał sytuację, jesienią 1942 roku ściągnął nas do Broku. Nie było to łatwe, potrzebna była pozytywna opinia jakiegoś niemieckiego organu. Taką opinię wydał Treuhander (zarządca majątkowy), który formalnie zarządzał majątkiem dziadków Gierszewskich w Tucholi. Oczywiście pozytywną opinię wystawił nam nie za darmo. Otrzymywał systematycznie wałówkę i w pewnym sensie gwarantował spokojne funkcjonowanie gospodarstwa w Tucholi. Gdy nasza rodzina sprowadziła się do Broku, rodzice zapisali nas z bratem do miejscowej szkoły prowadzonej w języku polskim. Z Bojan do szkoły w Broku mieliśmy siedem kilometrów. Chodziliśmy na ogół pieszo, ale czasem Ojciec zabierał nas na rower, bo biuro nadleśnictwa też funkcjonowało w Broku. Do szkoły uczęszczało więcej dzieci z naszej wsi, więc chodziliśmy zazwyczaj większą gromadą.

W pokoju, w którym spałem, wielokrotnie odbywały się nocne spotkania Ojca z mężczyznami przychodzącymi z lasu. Z tematyki usłyszanych rozmów, gdy jeszcze nie spałem, zorientowałem się, że Ojciec pełnił w tej konspiracyjnej organizacji funkcję kwatermistrzowską. Był zaprzysiężony, jako członek Armii Krajowej, podobnie jak nasza opiekunka Marynia, która była łączniczką i często uczestniczyła w nocnych naradach dowódców leśnych oddziałów. Z tego tajemnego grona, w mojej pamięci szczególnie mocno utkwiała postać Rosjanina nazywanego „Złotym Iwanem”. Był dowódcą sowieckiego ugrupowania partyzanckiego działającego na terenie Puszczy Białej. Rzadko się odzywał, raczej słuchał, a jego cechą charakterystyczną stanowił cały rząd złotych zębów połyskujących, gdy już coś mówił.

Różne akcje podziemia miały prawdopodobnie miejsce, ale do nas dzieci to nie docierało. Pamiętam takie wydarzenie, gdy na skrzyżowaniu duktów leśnych, w drodze do szkoły, znaleźliśmy ciała dwóch młodych mężczyzn zastrzelonych przez Niemców. Przez kilka dni nie wolno było ich pochować. A później zostali zakopani na miejscu w lesie, bo na pochówek na cmentarzu nie było zgody.

W Broku w czasie okupacji funkcjonował posterunek policji granatowej złożonej z Polaków. Ponadto, w 1944 roku nowo wybudowana siedziba nadleśnictwa została otoczona wysokim nasypem, a wewnątrz zainstalowała się grupa Grenzschtzu z pojazdami bojowymi i uzbrojeniem.

Wyjaśnienia wymaga jeszcze obecność Maryni w naszej rodzinie. Maria Wojtalewicz „Marynia”, którą traktowaliśmy jak starszą siostrę, pomagała naszej

mamie w opiece nad dziećmi. Jej matka zmarła przedwcześnie jeszcze przed wojną, a ojciec zginął w niemieckim obozie koncentracyjnych. Dzieci Wojtalewiczów trafiły do rodziny, do nas Marynia. Była z nami przez całą okupację i jeszcze po wojnie, aż do wyjścia za mąż. Jej mężem został Jan Kazimierz Witkowski, absolwent Wydziału Rolniczo-Leśnego w Poznaniu z 1932 roku, który przed wojną był adiunktem u naszego Ojca w Nadleśnictwie Lutówko. Przeżył wojnę, później odnalazł naszą Marysię i się pobrali w końcu lat 40. Witkowski był już wówczas nadleśniczym w Nadleśnictwie Kościan.

Wspominając pobyt w Bojanach, trzeba podkreślić, że rodzice zapewnili nam skromne, ale beztrudne życie, nie dzieląc się z dziećmi, zapewne trudnymi problemami dnia codziennego. Było to ich cechą także w okresie powojennym. Pamiętamy z czasu pobytu w Bojanach piaszczystą, leśną drogę do szkoły w Broku, którą przemierzaliśmy codziennie i w której kiedyś utknęły samochody Wehrmachtu, wiozące żołnierzy na akcję z ugrupowaniem Armii Krajowej operującej w miejscowych lasach. Pamiętamy też wspólne śpiewy polskich pieśni patriotycznych, harcerskich i wojskowych przy akompaniamencie Ojca grającego na bałające. Albo wyprawy z Ojcem do lasu i jego pogawędki o życiu lasu, wycieczki z bratem nad pobliską rzekę Bug i łowienie ryb wędkami z kijów leszczynowych i z przynętą „na muchę”. Połowy musiały wystarczyć na przygotowanie zupy dla całej rodziny. Wracają też obrazy z rodzinnego niedzielnego plażowania nad brzegiem Bugu.

WYJEŹDŻAMY Z BOJAN

W połowie września 1944 roku front wschodni zbliżał się do Bugu. Coraz wyraźniej słyszeliśmy odgłosy armat i karabinów, później dymy na horyzoncie, a nocą rozbłyski na niebie. Ojca i niemal wszystkich mężczyzn z okolicy skierowano do kopania okopów. Los Ojca i naszej rodziny stał się niepewny, tym bardziej, że w sierpniu urodziła się nasza siostra Elżbieta Stefania. Ojciec przeniósł nas do gajówki w tzw. Jelenim Dole, gdzie zgromadziło się sporo uciekinierów przed zbliżającym się frontem.

Jednym z Niemców kierujących pracami ziemnymi, w których uczestniczył Ojciec, był esesman z Chojnic o nazwisku Kaszubowski. Ojciec zagadnął go o swojego kolegę też Kaszubowskiego, z którym chodził do jednej klasy w Gimnazjum w Chojnicach. Okazało się, że to jego kuzyn. Od tej chwili esesman rozmawiał z Ojcem już tylko po polsku i całkiem przyjaźnie. Ojciec zdecydował się poprosić go o pomoc w wywiezieniu rodziny do stacji kolejowej, skąd mogliby pociągiem dostać się do rodziny w Tucholi zanim dotrze tu front. Kaszubowski zmiękł. Zadeklarował, że podstawy samochód, który przewiezie rodzinę do Ciechanowa. Tak się stało. Nawet Ojciec dostał przepustkę. W czasie podróży przeżyliśmy nalot, na szczęście bez ofiar w ludziach. Przez Działdowo, Grudziądz, szczęśli-

wie dotarliśmy do dziadka w Tucholi. Czuliśmy się bezpieczni. Ojciec wybrał się w podróż powrotną. Dopiero po wojnie dowiedzieliśmy się, że nie wrócił już do kopania okopów w Broku, tylko ukrył się – jak już kiedyś po zwolnieniu z Dachau – u swoich sióstr w Toruniu.

Już po wojnie Ojciec powiedział mi, że dowódca sowieckiego ugrupowania partyzanckiego z okolic Broku – wspomniany wcześniej „Złoty Iwan” – w czasie, gdy zbliżała się Armia Czerwona sam zaproponował mu własnoręcznie sporządzoną bumagę, dziś powiedzielibyśmy certyfikat bezpieczeństwa, na wypadek kłopotów ze służbami bezpieczeństwa po wkroczeniu Rosjan. Bumaga przydała się już w marcu 1945 roku, gdy w Toruniu zorganizowano na Rynku Staromiejskim wiec zwycięstwa, podczas którego sowieckie NKWD obstawiło centrum miasta i usilnie wyszukiwało ludzi powiązanych z podziemiem. Ojciec ostrzeżony przez przypadkową kobietę w porę wycofał się ze śródmieścia, ale już na ulicy Mickiewicza zatrzymał go sowiecki patrol. Gdyby nie bumaga Złotego Iwana prawdopodobnie znalazłby się w areszcie, a później być może w transporcie na wschód, co było wówczas zjawiskiem dość powszechnym.

POWRÓT DO LUTÓWKA

W tym czasie do Torunia wyzwolonego spod okupacji niemieckiej dotarła grupa inicjatywna dyrekcji Lasów Państwowych. Ojciec zgłosił się do pracy



Lutówko ok. 1946 r. przed siedzibą nadleśnictwa. Dorośli od lewej: nadleśniczy Aleksander Wysiński jego żona Zofia oraz Maria Wojtalewicz; dzieci od lewej: Aleksandra i Elżbieta Stefania



Lutówko 1946 r. przed wejściem do budynku mieszkalnego. Dorośli od lewej: Zofia Wyśińska, jej siostra Maria Gierszewska, nadleśniczy Aleksander Wyśiński, Michał Gierszewski senior, Zofia Wyśińska. Dzieci od lewej: Mieczysław, Marian i Elżbieta Stefania

i zaraz został skierowany do Nadleśnictwa Lutówko, aby reaktywować jego działalność. Zorganizował na nawo pracę w nadleśnictwie i wkrótce ściągnął do siebie rodzinę z Tucholi. Zamieszkaliśmy w tym samym mieszkaniu, co przed wojną. Udało się odzyskać dużą część umeblowania, które w czasie wojny przeszły w posiadanie przeważnie Niemców, którzy – gdy zbliżał się front – uciekli w głąb Rzeszy. W Lutówku podjęliśmy edukację. Na miejscu była czteroklasowa szkoła powszechna, do której chodził mój brat Marian, a ja do odległej o sześć kilometrów szkoły w Lutowie. Znacznie bliżej miałem przez jezioro, które zimą zamarażało i wtedy chodziło się po lodzie. Latem umawiałem się niekiedy z rybakiem Kuncą i jego łodzią skracaliśmy drogę do domu.

W Lutówku byliśmy do maja 1947 roku. Już w 1946 roku przedwojenni nadleśniczowie, którzy przeżyli wojnę i wrócili do pracy, mogli odczuć, że ich pozycja zawodowa nie odpowiada umacniającej się już władzy komunistycznej, która uważała, że mają oni zbyt duży i „niewłaściwy” wpływ na lokalną społeczność. Ojciec otrzymał propozycję, nie do odrzucenia, przejścia do pracy na stanowisko kierownika Działu Planowania w Dyrekcji Lasów w Toruniu.

Dwuletni pobyt naszej rodziny w Lutówku wszystkim nam dobrze służył. Ojciec, którego wojna najmocniej doświadczyła, bo był w obozach niemieckich, później w różnych trudnych relacjach z okupantem, kiedy współpracował z podziemiem albo ukrywał się zagrożony aresztowaniem, przez te dwa lata odbudował zdrowie, był bowiem też hobbystą zielarzem. Znany z tego w środowisku, sąsiedzi i znajomi powszechnie korzystali z jego zielarskich rad i pomocy.

W TORUNIU

Przeniesienie służbowe do Torunia, Ojciec odebrał jako próbę zwiększenia kontroli nad jego osobą. Podobne ruchy nowej władzy dotyczyły też innych przedwojennych nadleśniczych, których bądź to ściągano do dyrekcji, bądź zysano na jakieś odludzie. Ojciec otrzymał mieszkanie komunalne w Toruniu przy ul. Moniuszki, dwieście metrów od miejsca pracy. Niby zyskał finansowo, ale zarobki leśnika były już wtedy bardzo skromne. Pracując w dyrekcji, nie miał też deputatu rolnego, który w latach powojennych ratował budżet rodzin leśnych. Pamiętam, że nieco później, jako młody absolwent leśnictwa, pracowałem w urzędowaniu lasu, gdzie na akord zarabiałem cztery razy tyle, co ówczesny nadleśniczy.

Ojciec nigdy nie narzekał na swoich szefów. W stosunku do podwładnych był bardzo wymagający, tak samo jak w stosunku do siebie. W Toruniu wreszcie miał więcej czasu dla nas. Ale nie trwało to długo. Względnie spokojne życie naszej rodziny zakończyło się we wrześniu 1950 roku. Ojciec otrzymał pismo z Urzędu Bezpieczeństwa, który mieścił się wówczas w Toruniu przy ul. Bydgoskiej. Został wezwany jako świadek w sprawie księdza katolickiego, przeciwko któremu prowadzono śledztwo. Nic nie zapowiadało dramatu. Wydawało się, że świadek

po złożeniu zeznań wróci do domu. Jednym z pracowników urzędu był niejaki Filip Krupienicz, pochodzący gdzieś spod Lwowa. Był wysokim funkcjonariuszem bezpieczeństwa w Toruniu. Później był nawet szefem UB w Inowrocławiu.

Ojca zatrzymali na Bydgoskiej. Wrócił do domu po blisko trzech miesiącach, pod koniec listopada. Mama próbowała dotrzeć do niego. Nie wpuszczono jej do gmachu. Ja też próbowałem się tam dostać. Bez skutku. Ojca i innych aresztowanych trzymano w piwnicy w wodzie. Otrzymali snopek słomy, który natychmiast był mokry. Więźniowie byli w pojedynczych klatkach. Warunki – jak mówił nam Ojciec – były gorsze niż w obozach niemieckich, w których przebywał w czasie wojny. Przez cały czas uwięzienia był w tym samym ubraniu. W ogóle nie było z nim kontaktu. Nie można było mu czegokolwiek dostarczyć, np. bielizny, innych ubrań czy żywności. Wrócił zmaltretowany.

Ojciec był przesłuchiwany w charakterze świadka. Jak wyglądały przesłuchania i jaki był ich temat, Ojciec nigdy nam nie powiedział, prawdopodobnie, aby nas nie narażać i z pewnością kazali mu przy zwolnieniu podpisać jakieś zobowiązanie do milczenia. Od bliskich znajomych Ojca dowiedzieliśmy się z czasem, że śledztwo prowadzono w sprawie księdza katolickiego prawdopodobnie ze Świeka-



Rodzina Aleksandra i Zofii Wysińskich przed domem na ul. Wyczółkowskiego w Toruniu, jesienią 1950 r. Siedzą od lewej: Zofia, Elżbieta Stefania i Aleksander, stoją od lewej: Marian, Mieczysław i Aleksandra

tówka, który w czasie wojny był więziony w obozie niemieckim, w jednym bloku z Ojcem, i miał tam rzekomo cieszyć się jakimiś szczególnymi względami Niemców, bo pozwalali mu oni odprawiać... Msze św., co innym kapłanom było zabronione. Miało to świadczyć o kolaboracji księdza z Niemcami. Ani Ojciec, ani kilkunastu innych świadków nigdy tego nie poświadczyli i ksiądz w procesie został oczyszczony z zarzutów. W rzeczywistości, poszukiwanie przez UB haków na księdza miało wynikać podobno z postawy tego kapłana w nowej rzeczywistości powojennej. W jego kazaniach często pojawiała się krytyka nowej władzy, która walczyła i z kościołem, i z wiarą, i z narodem.

Ubegy z ulicy Bydgoskiej w Toruniu wiedzieli też prawdopodobnie o związkach Ojca z Armią Krajową i ten temat mogli wykorzystywać do zastraszenia. Ojciec jednak z całą pewnością nikogo nie wydał, ani nikomu nie zaszkodził, bo ciągu dalszego sprawy nie było. Ostatecznie nie wezwano Ojca na rozprawę przeciwko oskarżanemu księdzu, gdyż w żaden sposób nie byłoby w nich niczego, co by mogło duchownego obciążyć. Po powrocie z UB Ojciec nie był w stanie przejść o własnych siłach 200 metrów z domu do dyrekcji na ulicy Mickiewicza, gdzie pracował. Ówczesny dyrektor Wilhelm Jankowski przysłał samochód z kierowcą, aby go przewiózł do dyrekcji w celu podpisania listy obecności i nabycia praw do zwolnienia chorobowego. Wkrótce Ojciec trafił do szpitala. Okazało się, że ma kamienie żółciowe, nerkowe i szereg innych dolegliwości. Był poddany operacji chirurgicznej, która nie dała dobrych efektów. Stan jego zdrowia stale się pogarszał. Ponownie trafił do szpitala, gdzie odbyła się kolejna operacja. Był już bardzo osłabiony. Organizm nie podniósł się. Ojciec zmarł 6 maja 1951 roku. Został pochowany na cmentarzu św. Jerzego przy ul. Gałczyńskiego w Toruniu.

Patrząc z perspektywy czasu na dramatyczne wydarzenia związane z aresztowaniem naszego Ojca, brutalnymi przesłuchaniami i konsekwencjami zdrowotnymi zakończonymi przedwczesną śmiercią, trzeba zauważyć, że spora grupa leśników solidaryzowała się wówczas z naszą rodziną. Takim parasolem ochronnym, na miarę swoich możliwości, okazał się dyrektor Jankowski, który – po śmierci Ojca – przyjął naszą mamę do pracy. Później, po śmierci dyrektora Jankowskiego w 1961 roku, podobnie przyjazny stosunek do nas miał i pomoc okazywał jego następcą, dyrektor Niedzielski.

Tadeusz Chrzanowski

Spisane na podstawie wspomnień
Mieczysława Wysińskiego i Mariana Wysińskiego.
Toruń, w lipcu 2020 roku

Zdjęcia: archiwum rodziny Wysińskich